

Holokaust

PRZEMEK RYDZEWSKI

Ta myśl, gdy przychodzi nawet najjaśniejszy tekst zmienia się w czarną breję. Jest tak, jakby zaskowytało we mnie zwierzę, osłepiła, a przynajmniej błysnęła jaśniej, od tego, co zapisane, ostania krztyna instynktu. Bronię się. Wówczas mimo, że nadal jeszcze czytam, nie podążam za tekstem, a jedynie wertuję litery, wyrazy, zdania, linijki, jakkolwiek, by liczyć. Trwa to jakiś czas, po czym podnoszę wzrok z nad strony i patrzę na ścianę lub tak jak teraz – za okno pociągu. Ta myśl o tym, że ktoś może uderzyć mnie w twarz.

Stanie się to nagle. Bez ostrzeżenia. Ktoś podejdziesz lub tylko się odwróci ten, co siedzi obok, bo siedzimy po dwóch w fotelach, po dwóch stronach wagonu, frontem do kierunku jazdy. Raczej męzczyzna niż kobieta. Odwrotnie dłoń, zamachnie się i uderzy mnie w policzek, może trochę w ucho, trochę w nos, ale to już niechcący, przypadkiem. Ten, co siedzi obok, uderzy mnie wierzchnią stroną dłoni, łęcz, nie będzie miał dość miejsca na zamach. Z kolei ten, co wstanie ze swojego miejsca w innym rzędzie, może nawet chcąc wysunąć się, szczerze przeprosi współpasażera, ten podejdziesz, nachyli się, zamachnie i uderzy mnie bardziej naturalnie – mocno i wnętrzem dłoni. Czy łęcz czy mocniej, to bez znaczenia. Uderzy. Stanie równo przede mną. Ja spojrzę, a on może tylko muśnię palcami swoje uszy, unosząc przy tym brwi, podbródek, wypinając klatkę piersiową, jeszcze raz uniesie i rozwrze dłoń. Zasugetuje tym zestawem groźnych gestów, że za głośno słucham sonat fortepianowych Grażyny Bacewicz. Albo inaczej: wrzaśnie, albo rzuci nawet przekleństwem, zdaniem, trąci ręką moją książkę, że jestem taki zaczytany w Marcelu Prouście, kiedy on nic nie czyta. Być może będzie ubrany w garnitur, a być może nie. To wszystko zupełnie bez znaczenia.

I co ja wówczas pocznę? Co zrobię? Nic. Zupełnie nic. Będę siedział potulny jak brank. Nic przecież więcej się nie stanie. Niemożliwe, żeby stało się cokolwiek więcej. No, bo co? Jesteśmy w pociągu. W pierwszej klasie. Jedziemy do Gdańska. Z Warszawy. O poranku. W biały dzień. Tak, pewnie wyłączę sonaty Grażyny Bacewicz. Przymknę powieki Prousta, jeśli będę ją jeszcze miał w dłoniach, jeśli nie zostanie mi wytrącona, skopana, wyrzucana, wąpnię jednak, by tak się stało. Kto by wytrącał czy wyrzucał ludziom książki w biały dzień? Popatrzę za okno. Będę patrzył za okno. Za oknem jest pięknie. Dwudziesty siódmy stycznia dwa tysiące piętnastego roku, gdzieś za Malborkiem. Poranek. W tej kolejnej już z rzędu ciepłej zimie w Polsce chwycił nagle mróz. Drzewa, pnice, konary, każda gałązka, ale też dosłownie każde źdźbło trawy, co wyschło, a nie zgniło jesienią, pokryte jest teraz białą warstwą szronu. Cały ten widok, ten pejzaż, ze szlabanem zamykającym drogę niewiadomo dokąd prowadzącą, z gospodarstwem, gdzie nie wiadomo, kto mieszka, polem, grudami, brudami, słupami telegraficznymi, słupem czarnego dymu z kominą, bezwietrznością, tafelką lodu tu i tam zaschniętą w polu, jest magiczny. Niemożliwy, bo nieknięty. Niewinny. Właściwie do chwili,

gdy słońce unicestwi ten, jakby to rzec, nowy świat, wszystkiemu co w nim, od torów kolejowych po horyzont, moglibyśmy nadać nowe nazwy. Już nie szlaban, gruda, drzewo, tylko coś innego. Rzecz po rzeczy ponazywać od początku. Tak, to byłoby dla nas dobre. Może więc będę tak sobie siedział, patrzył i nazywał, aż do Gdańska?

Normalnie, by tego nie zrobił. Zrobił jednak. Stało się. Uderzył mnie w twarz. Może zrobił to, bo właśnie otrzymał kilka trudnych telefonów z pracy i mimo negocjacji, nerwów, nieprzespanych nocy, nie udało się i może od dziś jest biedny. To bez znaczenia. A może zrobił to, bo ktoś obok, starszy, poszeptał o tym, jak bardzo mu przeszkadza, że słucham zbyt głośno sonat Grażyny Bacewicz, i że też widać po mnie, że się w życiu nie naprawowałem. To też bez znaczenia. A może też najwyczejniej w świecie pomylił mnie z kimś, przez kogo jego wujek, którego bardzo lubił, stracił mieszkanie i popadł w alkoholizm lub gorzej – jego syn z mojej winy nie spełnił się, zmarnował. Bez znaczenia. Zrobił to, bo myślał, że się na niego patrzę, choć się nie patrzyłem, że obraziłem jego matkę, choć nie obraziłem, bo jej nie znam. Albo jeszcze coś innego, mianowicie, odczwały się w nim nagle nędzne geny, zasklepione przypadłości z dzieciństwa, schizofrenia, dramaty. A może widział mnie już kilkakrotnie w pierwszej klasie, jak zamawiam najdroższy posiłek i to wystarczyło, choć i to wszystko i każde osobną jest bez znaczenia, podobnie jak to, że za kilka dni przeczytałem w gazecie albo dowiem się nawet z telewizji, że w pociągu z Warszawy do Gdańska grasował wariat lub narkoman, ujęto go i zamknięto. Nie będzie też miało znaczenia to, że nim podróż się skończy, podejdziesz i mnie przeprosi, lepiej, że potem mnie odnajdzie, przyniesie mi kwiaty, czekoladę i znów mnie przeprosi. Potem publicznie raz jeszcze, bo ja jestem wykładową uniwersyteckim i można ze mną rozmawiać publicznie i gdyby nawet zamówił ogłoszenie w gazecie i wstawił w murach uczelni tabliczkę „Przepraszam, że uderzyłem w twarz profesora takiego a takiego”, nie będzie miało żadnego znaczenia. I również to, że mu wybaczę, nie będzie miało znaczenia. Normalnie, by tego nie zrobił. Zrobił jednak. Stało się.

Najgorsze, że stanie się to ot tak, tu, na oczach wszystkich. W pociągu Ekspres Intercity, nowym, marki Pendolino, w biały dzień, słoneczny, dwudziesty siódmy stycznia, dwa tysiące piętnastego roku. O poranku. Godzina dziesiąta minut trzydzieści siedem, następna stacja Tczew, jak pokazuje wyświetlacz nad rozsuwanymi drzwiami, które rozsuwają się bezgłośnie. Wagon pierwszej klasy, jedyny taki, wypełniony do ostatniego miejsca. Tyle ludzi, współpasażerów, a nie każdy będzie miał coś do powiedzenia o tym, co mnie spotkało. Będą tacy, którzy siedząc zbyt daleko nigdy się nie dowiedzą, co właściwie zaszło, może, co najwyższej, dowiedzą się z gazety i raczej trudno będzie im uwierzyć. Nie uwierzą. Nawet, gdy ktoś przyjdzie i im powie: tam właśnie biją kogoś

Auschwitz zbrodnia totalna i absolutna

BEATA KOŁCZAŃSKA

Kiedy myślę o Shoah przeraża mnie jego ogrom, bezwzględność i nieograniczoność. Nie mam na myśli jedynie okresu „wtedy”, czyli w trakcie II wojny światowej, ale także to, że Holocaust nie zakończył się wraz z działaniami wojennymi, ale trwa do dzisiaj.

Zagłada dotknęła wszystkich. Ludzi z różnych kręgów społecznych, wiekowych, zawodowych, religijnych. Człowiek przestał mieć znaczenie w wymiarze indywidualnym. Liczyło się jedynie to, czy nie jest wrogiem III Rzeszy. Jeśli według ideologii nazistowskiej nie miał prawa żyć, to nie liczyło się kim był, ani ile miał lat. Zabijano także tych najmłodszych, którzy nie mieli szansy być świadomymi wrogami kogokolwiek. W tym sensie Shoah nie miała granic i było zbrodnią absolutną, która dotknęła wszystkich.

Brak granic Zagłady przejawia się także w jej wymiarze czasoprzestrzennym. Nie chodzi tu tylko o to, że działała się ona w różnych przestrzeniach: w dużych miastach; po stronie aryjskiej; w gettach; na wsiach; w obo- w twarz. Ci z drugiego końca wagonu nie uwierzą. Inni, już bliżej, też nie uwierzą, pomyślą, że to niemożliwe, że im się wydawało, że to co wyglądało, jakby ktoś podszedł i mnie uderzył w twarz w biały dzień tym nie było. Nie mogło być przecież. Było czymś zupełnie innym. To gałązka uderzyła w okno, ale nie ręka w twarz. Wśród tych z sąsiednich rzędów wygodnych foteli będą tacy, którzy zamkną oczy i nie wiadomo, czy wierzili w to, co widzieli czy nie, bo gdyby ich potem zapytać, nic nie powiedzą. Ci zupełnie za mną i po skosie z lewej przyznają w duchu, że stało się tak, jak stać się powinno, bo nie można panoszyć się z sonatami Grażyny Bacewicz, a też

zach koncentracyjnych i w granicach wielu państw oraz w czasie kilku lat okupacji niemieckiej. Ale o jej skutki, które trwają do dzisiaj. Ocaleni z Zagłady cierpią na chorobę Zespołu Stresu Pourazowego – KZ Syndrom. Jej objawami jest ciągle wracanie wspomnieniami do okresu okupacji w sposób świadomy i nieświadomy. Ofiary Shoah często odtwarzają i przeżywają wciąż na nowo wydarzenia traumatyczne, których byli uczestnikami lub świadkami. Mają potrzebę przekazania swojej wiedzy i swojego punktu widzenia. We wspomnieniach byłych więźniów obozu Auschwitz-Birkenau, często można spotkać się z postawą, że prawdą obiektywną jest historia opowiadającego, a to co ma do powiedzenia inny współwięzień jest jedynie nieprawdziwą opowieścią. Potrzeba opowiadania wynika także z poczucia winy, że innym nie udało się przeżyć, a mi tak. W związku z tym obowiązkiem ocalonego jest dać świadectwo i przypominać o tych, którzy ginęli bezimiennie w komorach Auschwitz. Objawem KZ-Syndromu, może być także nadmierne unikanie książek, filmów, instytucji kulturalnych, które nawiązują do wydarzeń II wojny światowej.

Dla ocalałych wojna wciąż trwa. Wraca do nich każdego dnia i każdej nocy. Przejawem tego, że wciąż żyją w Zagładzie są drobne zachowania, które zostały z czasów wojny. Na przykład nadmierne gromadzenie i chowanie jedzenia, pieniędzy. Spanie z chlebem pod poduszką. Budzenie się w porze pobudki z Auschwitz-Birkenau. Ciągła nerwowość i lęk, nie tylko o siebie, ale również o najbliższych. Brak granic Holocaustu ujawnia się w koszmarach sennych ocalałych,

gdzie przeżywają chcąc nie chcąc traumatyczne wydarzenia. W snach wracają ciągle do jednego, konkretnego wydarzenia, które z jakiś powodów było najbardziej drastyczne. Ocalałym snią się często ich najbliżsi, którzy zginęli, ale także ich oprawcy. Tragiczny wymiar, mają także te sny, w których byłych więźniów powraca do obozu i nie rozumie, dlaczego znowu się tu znalazł. Charakterystyczny jest także stan zaraz po przebudzeniu. Jest on jakby przedłużeniem koszmarne snu. Negatywne emocje wciąż trwają, brak poczucia umiejscowienia oraz rzeczywistości. Ocalony trwa w zawieszaniu na granicy jawy i snu. Trudno mu orzec, co jest prawdą, a co snem.

Być ocalałym to żyć podwójnie – kamuflować piętno i pielęgnować pozór. Duchową kondycję człowieka bez śmierci określa rozdwojenie. Ma dwa domy, w tym barak stażenny; ma dwa łóżka, w tym piętnową pryczę. Je z talerza, niekiedy z Rosenthala, i z przerdzewiałej miski. Z nadludzkiem wysiłkiem podwójność tę utrzymuje w stanie separacji. Światy istnieją równoległe, wyraźne niez mieszane. Czym opisać tę jego władzę? Intuicją ocalenia. Ocaloną intuicją? Zostawmy to filozofom. Co jednak się dzieje, zapytajmy, gdy intuicja ta zawodzi? Wówczas chemiczna reakcja obu światów wybuchu cierpieniem. Połowicznie zakończona Zagłada udowadnia żywotność. Swoje przekleśte trwanie. Ocalenie kładzie się do łóżka, natomiast budzi się na pryczy. Zasypia w Salzburgu, wstaje w Auschwitz¹.

¹ P. Weiser, *Psst. Ani słowa więcej*, [w:] *Wojna i postpamięć*, red. Z. Majchrowski, W. Owczarski, Gdańsk 2011

tak sobie czytać przez tyle godzin, jakby nic nie było do pomyślenia, o tym, co można by zrobić, co poprawić, czego dokonać dla innych, tak czytać właśnie jest po prostu niepoważne. A ten co siedzi koło mnie? Mój sąsiad? Nasze ręce stykają się przecież co rusz na wspólnym podłokietniku, buty wadzą o siebie przypadkiem i zaraz rozchodzą się o te kilka centymetrów. Ja zaglądam mu w gazetę, on mi nie zagląda w książkę, wiem co jadł, jak na imię ma jego córka i powiedział przeciw „dzień dobry”, co on powie? Dziwne, ale powie, że nie widział albo, co jeszcze dziwniejsze, po prostu powie, że nikt mnie nie uderzył. Też bez przesady, oczywiście w całym tym moim wagonowym towarzystwie znajdzie się dwóch takich, co zawołają głośno o tym, co mnie uderzył: co za cham! Ale znajdzie się i dwóch takich, co zawołają jeszcze głośniejsze, że w twarz uderzyłem się sam.

Jadę do Gdańska. Na uniwersytet, jakby miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Byłem w Warszawie na zaproszenie ministra kultury, co też przecież nie ma teraz żadnego znaczenia. Dokładnie tak samo jest bez znaczenia, jak wszystko to inne bez znaczenia, o czym była wcześniej mowa. Na uniwersytecie wykładam i jestem producentem. Będę dziekanem. Tam studiowałem, doktorzowałem się, a aby napisać doktorat, musiałem nauczyć się języka francuskiego, a wszy-

stko to na filologii polskiej, co jak wiadomo obecnie przestało mieć znaczenie. Byłem stypendystą Fundacji Fulbrighta na Uniwersytecie Harvarda. Byłem stypendystą na Uniwersytecie Yale, gdzie dotykałem rękopisów Wiltolda Gombrowicza, co o godzinie dziesiątej minut trzydzieści siedem, dwudziestego siódmego stycznia, dwa tysiące piętnastego roku nie ma już żadnego znaczenia. W Warszawie, za ledwie wczoraj, z przyjaciół zoba- czyłem wystawę „Higiena i postęp” pod kuratelą Andy Rottenberg. Znany się z Andą, zamieniliśmy nawet kilka zdań, co jest bez znaczenia. Przyjaciel zdobył bilety na „Tango” w Teatrze Narodowym w interpretacji Jerzego

Jarockiego, ale jakie to ma znaczenie? Przechadzaliśmy się potem spacerem od Nowego Świata do kawiarni Czytelnik, by pozdrawić ducha zmarłego na dniach Tadeusza Konwickiego i długo rozmawialiśmy o pokoleniu naszym, naszych rodziców i tym, przed którym występujemy dzień w dzień na większych i mniejszych aulach, co nie ma już teraz żadnego, naprawdę, nawet najmniejszego znaczenia. Teraz, tak teraz tylko pali mnie twarz.

To niemożliwe. Tczew. Krajobraz się zatrzymał. To niemożliwe. Zaczynam więc od początku, od tego akapitu. Tak tego, czytałem go, ale przecież na marne. Odsuwam lekko but od buta sąsiada. Znow się dotknęliśmy.



Nazistowska demonstracja pod City Hall w Vancouver